

JÓZEF BARAN

## PRZYSTANEK MARZENIE (19)

(FRAGMENTY)



Podkładając powróła pod pokosy żyta, znośząc snopki, układając je w dziesiątki, grabiąc ściernisko i wykonując inne galernicze dla mnie czynności – rozmyślam o niebieskich migdałach czy o losach bohaterów czytanych właśnie książek... i jak zwykle nie mogę się doczekać, żeby mama powiedziała mi: „No to idźże, synu, już do pasienia krów, bo ryczą za tobą w stajni”.

Nadchodziła pora, gdy należało je wygnąć w pole i gdy przy ich pasieniu – jak krowy trawą – mogłem się w samotności do syta napaść pośród pół książkowej fikcją; czyli zamieszkać z Johnem Silverem na wyspie skarbów, z Sherlockiem Holmesem w tajemniczym zamglonym Londynie, a z kapitanem Nemo zanurzyć się w jego podwodnym królestwie.

Precz ze snopkami, precz ze żniwami, precz z tym całym zakichanym gospodarstwem, w którym obraca się w koło Macieju pańszczyźniany kierat pracy, a my jesteśmy do niego przywiązani wraz z gniadym... precz z wyspą skaźniców na ciężkie roboty! Przeczytam parę stron i jak za dotknięciem różdżki czarodziejki przenoszę się w inne światy, przestrzenie, odskakuję na odległość paru tysięcy kilometrów, w inne wymiary...

A gdy dzień kuli się w sobie i słońce chyli się ku zachodowi, myślę tylko o jednym, żeby szybko się umyć, przebrać i popędzić do mostu, gdzie czekają na mnie już koleżkowie oblepiający jak jaskółki druty jego poręcze i gdzie znajduje się nasz przystanek z marzeniami. Tu umawiamy się na randki, sobotnie wesela, zabawy, tu rozpijamy „bełty” lub rozsiadamy się przy kunach z jasnym okocimskim w „Barze nad Uszwicą”, tu celebруем wieczorny rytuał oczekiwania na niebieski pekaes, z którego od czasu do czasu wysiada jakies powiatowe czy wojewódzkie dziewczę, inaczej niż nasze Kaški-Maryški się poruszające, inaczej niż one się wysławiające. W dodatku przyjezdne inaczej pachną jakimś wspanialszym, wyidealizowanym miastowym światem.

Zresztą, niektóre z nich okazują się nie takie

znów trudne, wysiadujemy z nimi do północy na nadrzecznych ławkach, u jednej pobieram pierwsze lekcje miłości; w drugiej zadurzam się na krótko lub na dłużej.

Pisaliśmy potem z sobą po wakacjach naperfumowane frazesami listy.

Pamiętam, że byłem po uszy zakochany w pewnej brzeskiej, gibkiej Halince przyjeżdżającej do swojego wiejskiego dziadka, że całowaliśmy się z życzkiem na wieczornych wałach, że przeżyaliśmy pierwsze erotyczne dreszcze i uniesienia w trawach, gdy udało mi się ją wywieść w pole, i że jej usta pachniały miodem i ciepłym mlekiem prosto ze skopka. Zresztą z czasem zrozumiałem, że niektóre z tych wakacyjnych znajomych marzyły skrycie, żeby je wywieść w pole i by udzielały nam pierwszych lekcji miłowania i miętoszenia się w trawach bądź pobierały je od nas pod wysokimi gwiazdami, choć oczywiście udawały, że im to nawet przez myśl nie przechodzi.

W końcu – mieliśmy wakacje; wszystko było przelotne, przypadkowe i bezgrzeszne jak młodość, której coś się roi, coś się zwiduje i która pragnie na ślepo zdobyć kogoś lub ulokować w kimś najczęściej przypadkowym owe kipiące w sercu i buzujące erotyczne wary i tęsknoty.

Ale ja właściwie chciałem tu o czymś innym...

Te przystanki z marzeniami, oczekiwania na kogoś, kto przyfrunie z daleka na podobieństwo anioła, świadczyły już wtedy, że byłem od początku wychylony w stronę świata, przyszłości, na zewnątrz, ba, nie zdziwiłbym się, gdyby ktoś z boku określił to dosadniej mianem pierwszych objawów mojego „bowaryzmu”. Doprowadziły mnie w końcu do poezji, zasklepiającej jak propolis czarne dziury w duszy i to – o paradoksie – do poezji wsi, ale wsi już tak przefiltrowanej przez wyobraźnię i marzenie, że mi się samemu bardzo podobała. Bo moja wczesna liryka, przywołująca marzenia, wspomnienia o wyidealizowanej arkadii dzieciństwa – też zrodziły się z bowaryzmu, tylko zapatrzonego nie w przyszłość, a w zmitologizowaną przeszłość...

Pamiętam, że w młodości dominowała chęć wyrwania się z tamtego świata i że zawsze marzyło mi się to, czego dotąd nie miałem. Więc nie pociągały mnie moje rówieśniczki zdrowe jak rzepy Kaški-Maryški uosabiające swojski los, na który nie chciałem się zgodzić, lecz śmigłe, liryczne, miejskie panny, „zapowiadające” moje prawdziwe przeznaczenie; nie to, co czekało na wyciągnięcie ręki, lecz to, co „odległe”, co nadjeżdżało autobusem z powiatowego lub wojewódzkiego miasta, co miało – dużo już później – pojawiać się w skrzynce pocztowej ze świata pod postacią listu z dobrą wiadomością mającą „przeobrazić” moje życie, „wstrząsnąć” jego posadami.

Ów bowaryzm zaowocował w przeciagu życia różnymi imionami dziewczyn i kobiet, różnymi nazwami krajów, do których podróżowałem; różnymi postaciami interesujących ludzi, w których wydawało mi się, że znajduję rozwiązanie zagadki istnienia; tysiącami książek i setkami płyt, gdzie szukałem muzyki doskonałej, muzyki

mojego serca.. i dalej szukam...

Ale ledwo czego dotknąłem, zaznałem, to po czasie zamieniało się ze złotego w szare, z nowego w stare, z odkrycia w rutynę – i już rozglądałem się za czymś nowym, czego jeszcze nie posiadałem, czego jeszcze nie odkryłem, żeby zadowolić i nakarmić w sobie tego duszka-głodomora mojej ruchliwej natury, choć uważałem też równocześnie, żeby broń Boże nie uronić wiele z doświadczeń, jakie były moim udziałem, żeby to, co nowe, dodawało się do tego co stare, choć często kłóciło się z nim.

Bowaryzm, a może tęsknota za niedoścignionym, za nieosiągalnym, co istnieje gdzieś – jak Absolut, jak Bóg, jak ostateczna miara i waga sprawiedliwości, piękna, doskonałości? Zresztą kto wie, czy właśnie nie ów bowarystyczny głodomór, popadający co jakiś czas w nudę, był załączkiem wszelkich nie tylko snobizmów, ale i religii, mistycyzmów, poszukiwań i odkryć ludzkości?

Bowaryzm, polegający na, wydawałoby się, pustym zapatrzeniu w „gdzieś indziej”, na rozmarzonej tęsknocie za nieokreślonym, pozornie lepszym; ten symptom Emmy Bovary opisany tak krytycznie przez Flauberta miał przecież w historii także swoje krzepiące uzasadnienia. Pewnie to on był najważniejszym składnikiem duszy Hannibala, Safony, Kolumba, Einsteina, Lutra, Gutenberga, Kopernika, Norwida, Szopena, Marii Curie-Skłodowskiej i Emily Dickinson, tej amerykańskiej starej panny, nieumiejącej się znaleźć w rzeczywistości, lecz tylko w poetyckiej imagacji.

Inna sprawa, że we mnie ów bowaryzm był często skonfliktowany z wiernością wobec korzeni, źródeł. Byłem jak bajkowe wędrujące drzewo, które frunie niebem, chce wciąż zaznawać nowych miejsc, nowych wrażeń, przemieszczać się jak ptak, ale korzeniami przywiązane jest stale do miejsca urodzenia. Tak było i tak pozostało do dziś. Jestem wciąż – i pewnie nie ja jeden – istotą paradoksalną, złożoną z przeciwieństw, drzewem o pniu złożonym z wielu słojów, a poezja to lek na uładzenie i ukojenie tych sprzeczności.

### Z wierszami jak ze snami

Nie należy wierzyć pozorom. Niektórzy ludzie sprawiają wrażenie nieprzyjaznych i wyniosłych. Do takich osób zaliczałem panią Elżbietę Konieczną, gdy kierowała działem kultury w krakowskim radiu. Aż pewnego razu przeczytałem w „Miesiącu w Krakowie” jej piękną recenzję o moim tomie. Potem – jako redaktorka naczelna tego miesięcznika – chętnie przyjęła patronat nad *Koncertem dla nosorożca*, a następnie dzięki jej pośrednictwu czytano tę książkę w Radiu Kraków. I tak ni stąd, ni zowąd stała się sprzymierzeńczynią mojej poezji, a ja jeszcze raz przekonałem się, że nie należy się uprzedzać do nikogo, nie poznawszy go wcześniej.

cdn.